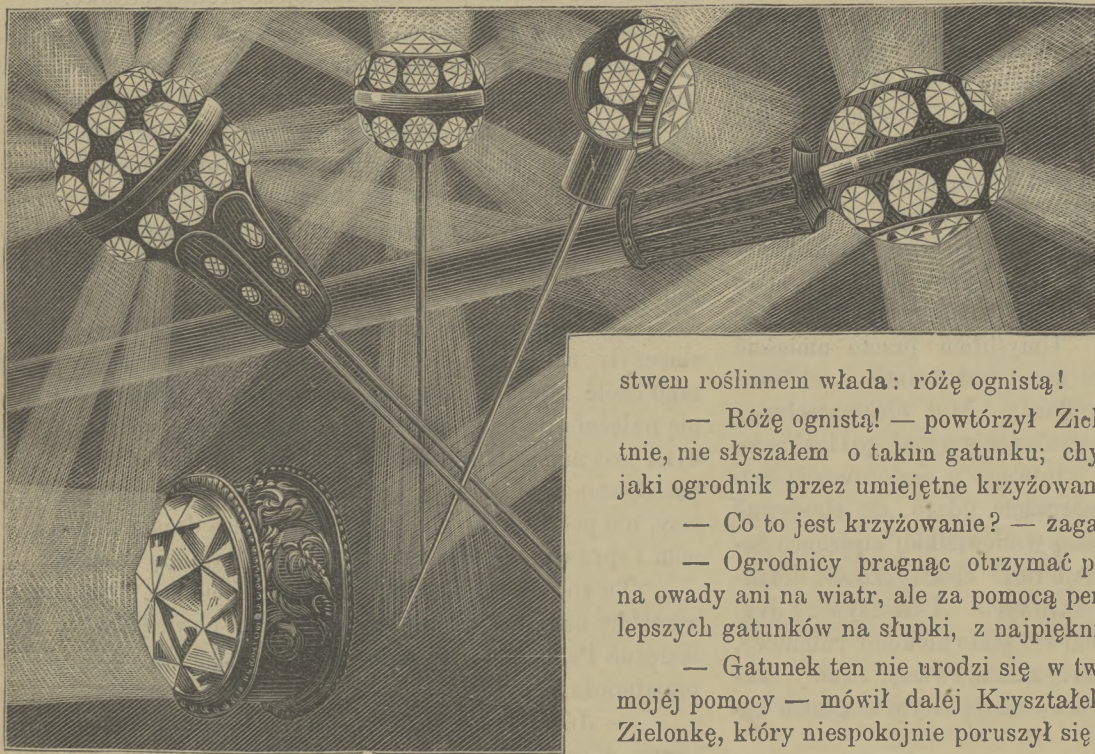




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



Klejnoty elektryczne.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

(c. d.)

oberwanych płatków róży do dzbanów chodzących po stole i wino które teraz wylewało się z nich do puharów, woniało różami. Gdy pieśń ucichła, Kryształek odezwał się.

— Posiadam w mojem państwie jeden gatunek róży, o którym nic nie wie brat mój Zielonko, chociaż pań-

stwem roślinnem włada: różę ognistą!

— Różę ognistą! — powtórzył Zielonko, mocno zdziwiony — istotnie, nie słyszałem o takim gatunku; chyba go bardzo niedawno, nowy jaki ogrodnik przez umiejętne krzyżowanie wytworzył!

— Co to jest krzyżowanie? — zagadnąłem Violę.

— Ogrodnicy pragnąc otrzymać piękne kwiaty, nie spuszczają się na owady ani na wiatr, ale za pomocą pendzelka przenoszą pyłek z najlepszych gatunków na słupki, z najpiękniejszych także wybrane okazów.

— Gatunek ten nie urodzi się w twoich ogrodach, miły bracie, bez mojej pomocy — mówił dalej Kryształek, spoglądając z uśmiechem na Zielonkę, który niespokojnie poruszył się na krześle.

Skinął na paziów i wnet dwaj z nich wnieśli kosz róż rozkwitających, z pozoru nie różniących się niczem od tych, któremi stół był zasłany. Królewski gospodarz powstał ze swego miejsca, i zaczął obchodzić stoły dokoła, każdemu gościowi różę przypinając do piersi. Zauważyłem że ozdobionym w ten sposób, wsuwał jednocześnie do kieszeni jakiś niewielki przedmiot, mający kształt książeczki. Czyżby w niej mieścił się opis kwiatu? Ależ na to chyba małej kartki dosyć! I co też było dziwne, to że owa książeczka połączona była z kwiatem za pomocą cienkiego sznurka, czy drucika. Wsuwając książeczkę polecał, aby gdy zawartość kosza się wypróżni, obdarzeni dotknęli ręką książeczki w miejscu, gdzie był tytuł wyciśnięty. Wszyscy przyjęli to polecenie z milczącym zdumie-

niem; spostrzegłem też, że Zielonko z dziwnym wyrazem twarzy na swoją różę spoglądał. Oprócz kształtu bowiem tylko i barwy, jak się teraz przypatrzyłem, niczem więcej prawdziwej róży nie przypominała, będąc zrobioną z jakiegoś szkła czy metalu. Ale pod warstwą róż w koszu, znajdowała się grubsza daleko warstwa klejnotów: dyademy, naramiennice, bransolety, spinki, przepaski, z samych drogich kamieni niebawem wielkości sporządzone. Królewicz wszystko hojną rozdawał dłonią, nikogo nie pomijając, nawet paziów: ja otrzymałem spinkę z ptaszkiem, Viola takąż spinkę w kształcie bratka. Jenerał Papaver dostał marszałkowską buławę. Hojność ta przypominała mi pamiętną niegdyś ucztę naszego Wierzyńka, która w swoim czasie zdumiewała cudzoziemców.

Gdy kosz się opróżnił, paziowie podnieśli go do góry dnem, dla okazania gościom że nic w nim nie zostało, i jednocześnie spostrzegli wszyscy, że słońce elektryczne na sklepieniu przygasało, ale z gości natomiast strzeliły promienie światła. Różę biesiadników przybrały kolor płomienny węgla żarzącego się, a klejnoty nadzwyczajnym zajaśniały blaskiem. Wszystkie znane dotąd drogie kamienie, bladły przy nich, bo nie tylko łamało się w nich światło, ale każdy oddzielnie rzucał promienie na znaczną odległość. Zdawało się, że biesiadnicy pozdejmowali gwiazdy z nieba i postroili się w nie. Kryształek dotrzymał słowa: gości swych w pochodnie zamienił.

Okrzyki podziwu i uwielbienia zapełniły salę. Wszyscy zasypywali hojnego gospodarza pytaniami i prośbami o wyjaśnienie tajemnicy, a on uśmiechał się tylko w milczeniu, trzymając w nateżeniu ich ciekawość. Wreszcie gdy ciekawość i podziw doszły do najwyższego stopnia, skinął ręką niby prokurator uśmierający fale, a gdy się uciszono, przemówił.

— Tajemnicą klejnotów i róż ognistych jest elektryczność. Lampy elektryczne żarowe, nie wymagają przystępu powietrza, nie dają płomienia, nie gasi ich przeto wstrząśnienie, ani pożaru nie wzniecają. Przyszła mi więc do głowy myśl utworzenia z ich pomocą klejnotów świetniejszych od wszystkich istniejących dotąd na świecie. Od znanych lampek Edisona, moje lampki różnią się tem tylko, że są bardzo małe, nie większe od orzecha włoskiego. Umyśliłem przeto umieścić takie lampki we wnętrzu szkieł łamiących światło, oszlifowanych w taki sam sposób, jak brylanty. Moi elektrotechnicy nadworni długo pracowali nad wynalezieniem małego i lekkiego, a przytem odpowiednio silnego i łatwego w zastosowaniu źródła elektryczności; jednemu nareszcie udało się zbudować maszynkę tak małą, że z łatwością w niewielkiej kieszonce pomieścić ją można, a mimo to daje ilość elektryczności dostateczną do rozżarzenia lampek żarowych. Utworzywszy dyamenty elektryczne, kazałem zabarwić szkło na kolor rubinowy, szafirowy, fioletowy, zielony, i otrzymałem świetne rubiny, szafiiry, ametysty, topazy, które przewyższają swym blaskiem kamienie prawdziwe.

— A różę ognistą? — spytał Zielonko.

— We wnętrzu kwiatu jest ukryta mała lampka, a za pociśnięciem sprężyny znajdującej się w kieszeni, róża płonie.

— I tajemnica błyskawic na sukni Jéj Królewiczowskiej mości, jest taka sama — szepnął mi na ucho Azbest.

— Mówiłeś mi że elektryczność jestto siła niewidzialna, krążąca dokoła nas — rzekłem do niego — a więc nie jest ona minerałem, ale należy do świata zjawisk. Dla czegoż wyłącznie popisuje się z nią Kryształek, jak gdyby jego tylko była własnością?

— Bo do jéj pobudzenia metale i minerały są potrzebne.

— Kochany bracie — odezwała się księżna Primula, cała jaśniejąca blaskiem elektrycznych klejnotów — twój pałac podziemny jest wspaniały, twoje klejnoty ogniste przechodzą wszelkie moje marzenia, twoje oświetlenie jest cudowne, ale powiedz mi proszę, czy do otrzymania ogni czerwonych, rzucających na całą salę odblask łuny pożaru użyłeś materiałów wyłącznie mineralnych?

— Tak jest. Były to ognie bengalskie powstające ze spalania różnych mineralnych mieszanin: płomień czerwony powstaje ze spalania mieszaniny stronyany, potażu, siarki i drobnego węgla; zielony z barytu, potażu, siarki i antymonu; biały z saletry, siarki i także antymonu, wszystko w odpowiednim dobranym stosunku.

— A pochodnie?

— Pochodnie były naftowe, z asbestowem, czyli amiantowem knotami; minerał ten znasz dobrze siostrzyczko. Ma on tę wielką zaletę, że daje się dzielić na włókna i służy u nas do wyrobu tkanin. Stół przy którym siedzimy, nakryty jest amiantowym obrusem.

— Nie przeczę że knoty twoje w pochodniach są czysto mineralne, ale co do nafty pozwolę sobie małą zrobić uwagę — odezwał się Zielonko. — Nafta jest pochodzenia roślinnego: pośród dawnych lasów, dziś zagrzebanych głęboko w ziemi w postaci węgla, były drzewa iglaste zawierające w sobie soki żywiczne, które później wydzielaly się i osiadały osobno. Z nich to powstały dzisiejsze źródła naftowe.

— Długo tak mniemano — odezwał się Pióropuszek — ale nowsze badania dostarczyły wskazówek, że nafta jest pochodzenia zwierzęcego, że ona powstaje w skutek powolnej chemicznej zmiany, z rozkładu ryb i innych zwierząt morskich. W skutek wysychania jezior i co za tem idzie, nadmiaru soli, zwierzęta morskie i błotne straciły życie i pokryte warstwą szlamu, podległy powolnemu gniciu, tworząc bogate źródło węglowodorów. Przypuszczenie to uzasadnia częsta obecność soli obok nafty.

— Najprawdopodobniej zwierzęta i rośliny wspólnie dostarczyły materiału na naftę — odrzekł Kryształek, na którego czole zawisła chmura — nie racya to jednak, aby ona nie należała do mego państwa! Odkąd stała się olejem skalnym, jest minerałem tak samo jak węgiel pochodzący z lasów przedpotopowych, które jednakże, tak samo jak dzisiejsze lasy, nie posiadałyby go, gdyby nie słońce dające zieleni roślinom i sprawiające że komórki ich rozwijają się i mnożą.

Tu znowu zachmurzył się nieco Zielonko, choć przeciw prawdzie naukowej i dowiedzionej, nic powiedzieć nie mógł. Księżna Primula widocznie w chęci odwrócenia uwagi od tego przedmiotu, rzekła:

— Jednej rzeczy przecież brak twoim minerałom, kochany Kryształku, nie mają zapachu. Królestwo roślinne dostarcza przepysznych perfum, królestwo zwierzęce jest bardzo upośledzone pod tym względem, ale daje nam piżmo, co zaś do minerałów, te Stwórca zupełnie woni pozbawił.

— Kto ci to powiedział? — zawołał z żywością gospodarz — królestwu memu nie brak niczego! Przekonałeś się już że moje góry, owe „milczące głązy” jak je lekkomyślnie nazywają, umieją śpiewać; że moje wody nie tylko wyłabiają podziemne pałace, ale wytwornemi pokrywają je rzezbami; że szaty z minerałów sporządzone, piękniejsze są i trwalsze od tkanin zwierzęcych i roślinnych; że minerały dostarczają lekarstw

na różne cierpienia w najprostszej swej postaci, jak naprzykład zwir którego nie raczyłaś zażyć; że dostarczają ludziom dzielnych narzędzi pracy, bez których pomocy nie możnaby urzeczywistnić wielu pomysłów ludzkich — a przypuszczasz że brak im tak drobnego, tak marnego przymiotu jak zapach! A wanie wydzielające się z kadzielnicy, czy ci się nie podobają?

— I owszem, bardzo nawet je lubię.

— A przecież wydaje je bursztyn, minerał. Jeśli dodam do niego kwasu azotowego, otrzymam piżmo sztuczne, równie silnie woniejące, jak to którego dostarczają zwierzęta, piżmowce.

— Bursztyn jest żywicą z drzew przedpotopowych — zauważył spokojnie Zielonko.

Choć te słowa wypowiedziane były łagodnie, jakby uboczna uwaga, stały się jednakże kroplą oliwy dołanej do ognia. Kryształek u którego od kilku chwil już widziałem lekkie drgania mięśni twarzy i takie w oczach błyski, że myślałem iż lada chwila wybuchnie, nie wybuchnął wprawdzie, bo cechą jego charakteru była umiejętność panowania nad sobą, ale z głęboką rzekł ironią.

— O, moi panowie bracia! jeżeli tak ściśle chcecie prowadzić ze mną rachunki, to i ja się o moją własność upomnę. Oddajcie mi wapno, fosfor, węglowodory i sole mineralne z których składają się wasze ciała!

Cisza zaległa stoły, a bladeść śmiertelna pokryła twarze biesiadników, bo głos gospodarza był zimny i ostry jak stal; słychać było tylko szelest kropli wody ciekących powoli ze ścian. Pierwszy tę ciszę przerwał Abrakadabrus głosem, w którym czuć było smutek.

— Moi miłośnicy królewicze, zdaje mi się że należałoby tu wznowić dawny zwyczaj północnych narodów i zawiesić ponad stołem białą różę, aby niektóre wypowiedziane tu słowa, nie wyszły poza ściany tego pałacu...

Słowa te wywołały rumieniec zawstydzienia na twarz gospodarza i łagodząco podziałały na braci. Porozumieli się oczyma, a najłagodniejszy ze wszystkich Zielonko odpowiedział.

— Drogi mistrzu, takie spory zdarzają się między nami niekiedy, ale nie naruszają bynajmniej harmonii naszych serc, które głęboka i prawdziwa łączy miłość braterska!

I wszyscy trzej wyciągnęli ku sobie ręce z pułchami, a twarze zaszepcone nieco przed chwilą, rozjaśniły się znowu. Królewiczowa Iskierka podniosła się z krzesła, co było znakiem że wszyscy mają wstać. Służba w mgnieniu oka usunęła stoły i na znak królewicza zabrzmiała muzyka niewidzialnej orkiestry, wyraźnie od brzegów jeziora płynąca; pażowie, a między nimi mój znajomy Azbest, otańczyli prześliczny taniec gnomów. Uwijając się w lekkich podskokach około jeziora, otaczając je jakby łańcuchem z elektrycznych płomyków, których źródła mieli na swych głowach, wyglądali jak prawdziwe duchy. Po jakimś czasie z powodzi tonów muzycznych, zaczął się wyróżniać odgłos dzwonu, zdający się huczeć głęboko pod ziemią otaczającą jezioro, odgłos przypominający dzwony kościelne. Ustał taniec, goście zdziwieni nasłuchiwali, a na jeziorze pojawiło się kilkanaście prześlicznych złożonych łodzi. Wysunęły się one z grot nadbrzeżnych, między którymi ginęła rzeczka wypływająca z jeziora; wioślarze mieli na sobie ubrania ze srebrnej lamy, połyskują-

ce przy świetle elektrycznym i lampki żarowe na głowach w kształcie gwiazd.

— Dostojni biesiadnicy — przemówił Kryształek — znane są wam słowa boskiego Mistrza: „Oddajcie Bogu co jest boskiego, a cesarzowi co cesarskiego”. Pokazywanie wam mego podziemnego pałacu, powinienem był zacząć od kaplicy i uczyniłbym tak niezawodnie, gdyby ona nie znajdowała się na samym końcu szeregu grot, w miejscu gdzie komnaty podziemne łączą się z pałacem moim znajdującym się na powierzchni ziemi. Wreszcie strudzeni byliśmy podróżą konną, zmęczeni długą pieszą pod ziemią wędrówką, a na nabożeństwo przedpołudniowe, było już zapóźno. Ale teraz oto dzwonią na nieszpory. Siadajmy w łodzi i jedźmy, a kto woli iść pieszo, tego moi przewodnicy poprowadzą brzegiem wody, chodnikiem wykutym w skale.

Ja należałem do tych co płynęli, bo bardzo już czułem się zmęczonym, więc brakło mi ochoty iść dalej. Pochodni nie wzięto, bo goście sami byli pochodniami, a przytem wioślarze mieli także lampki u czapek, oświetlające drogę na pewną odległość. Cały ten korowód z łodziami, ludźmi, odbijał się w wodzie, co takie chwilami sprawiało złudzenie, jakby pod nami nie woda była ale próżna przestrzeń i jakby łodzie nad drugim sklepieniem żeglowały w powietrzu. Niemalże wrażeń dostarczyła nam ta podziemna żegluga. Wązkie nasze łódki, z wielką zręcznością przesunęły się wązkami korytarzami, i wymijały stalagmity w postaci skał sterczące z wody. Płynęliśmy ciągle pod sklepieniami, których rzeźby podobne były do kwiatów fantazyjnych, do drzew nieistniejących, pod zwieszającymi się ze stropu bogatymi wzorzystymi baldachimami, między ścianami ludzącymi podobieństwem do zastygłych wodospadów, nasładowujących nawet pomarszczoną powierzchnię wody, białą pianę, bo też i ciekące po nich krople wapiennej wody zwiększały jeszcze to złudzenie. Płynęliśmy tak aż do miejsca, gdzie rzeka znikła w otworze ściany, z głuchym wpadając w przepaść łoskotem. Kilka stopni wykutych w skale wiodło do groty, przy której haki żelazne wmurowane w ścianę, służyły widocznie do wiązania łodzi. Łódź Kryształka jadąca na przedzie, pierwsza też oparła się końcem o stopnie. Królewicz wysiadł i podawszy rękę księżnie, szedł naprzód. Ujrzelśmy salę w której na środku stała gromada stalagmitów, niby tłum gdzieś spieszących pielgrzymów, skamieniałych z przerażenia, czy oczekujących na coś. Niektóre nieco naprzód pochylone, przypominały powieść to o żonie Lota zamienionej w bałwan soli, to bajki o ludziach zaklętych w kamienie i oczekujących ciągle wybawienia. Smuga niebieskawego światła płynęła tu aż na środek z drugiej groty, oświetlając niektóre postacie.

Minęliśmy ową skamieniałą gromadę i weszliśmy do drugiej groty, z kąd owo światło wychodziło.

— Jesteśmy w kaplicy — odezwał się Kryształek i pierwszy odkrył głowę, co też uczynili wszyscy za nim idący.

Sala ta miała kształt podwójnej nawy: w większej, bliższej miejsca, stalagmity, niby posągi świętych stały pod ścianami. Tam też była ambona i chrzcielnica, w zagłębieniu której, sączyła się kroplami woda ze sklepienia. W drugiej, mniejszej nawie, stalaktyty ponad ołtarzem zwieszały się niby przezroczyste draperye, tworząc nad nim baldachim, a sam ołtarz stanowił wielki odłam skryształizowanego wapienia, przezroczystszy od innych; z kształtu poznałem że to wielki stalagmit bokiem położony — a na nim stał krucyfiks rzeźbiony

z drzewa, co przyznaje że mnie zdziwiło. Czyż to Kryształek nie ma dość marmurów na takie rzeczy! Lampa zwieszająca się ze sklepienia, rzucała złote promyki na ten krucyfiks, a obok ołtarza, na dwóch stalagmitach wysokich, pełniących służbę świeczników, w metalowych naczyniach mających kształt ofiarników, płonęły niebieskie ognie bengalskie. Cudowny efekt sprawiało to oświetlenie, mające w sobie coś dziwnie kojącego, łagodzącego, coś, że się tak wyrażę, niebiańskiego. Wszystkie oblane niem przedmioty, a więc i ołtarz i ściany i posągi stalagmitowe, wyglądały przy niem jak mgła — a ludzie zapełniający teraz kaplicę, jak duchy mające za chwilę w tej mgle się rozplynać. Chrystus wiszący na swym krzyżu miał wyraz twarzy tak bolesny, że nie można było patrzeć na niego bez wzruszenia. U stóp krzyża leżał zraniony ptak i gasnące spojrzenie utopił w oczach Zbawiciela z pełnym ufności wyrazem. Księżna widocznie znawczyni i lubowniczka sztuk pięknych, spojrzawszy na ołtarz zawołała.

— Ależ to prawdziwe arcydzieło!

Zawtórowano jednogłośnie jej zdaniu i dopytywano się ciekawie o imię artysty, jedna tylko królewiczowa Jagódka nie pytała, patrząc na krzyż w zadumie; musiała je chyba znać!

— Krzyż ten wyrzeźbił chory cudzoziemiec, mieszkający na moczarach — rzekł Kryształek. — Zobaczyłem go raz pracującego nad tem i zachwycony pięknoscią dzieła i poetycznością pomysłu, prosiłem aby mi go odstąpił. A choć chciałem za tę pracę dać mu tyle złota ile krzyż ważył, nie przyjąć nie chciał. Prosił mnie tylko aby mu wolno było wyrzeźbić kilka słów na podstawie. Naturalnie, zgodziłem się chętnie, bo i cóż mi to może szkodzić?

On, znowu on! Wszędzie spotykam jego ślady... Wszyscy byli ciekawi tych wyrazów i cisnęli się tłumnie do ołtarza, ale nikt ich nie rozumiał. Zbliżyłem się i ja z sercem bijącym i przeczytałem: „Boże zbaw!” dalszych wyrazów odczytać nie mogłem, bo łyzy zasłoniły mi oczy.

Przez drzwi wykute w skale, a znajdujące się po lewej stronie ołtarza, wszedł człowiek w kościelnej odzieży, z młotkiem stalowym w ręku i zbliżywszy się do dwóch najniższych spuszcających się ze sklepienia stalaktytów, z których jeden był dłuższy, a drugi nieco krótszy, jął uderzać w nie zlekka młotkiem kolejno. Wydały odgłos czysty i dźwięczny, podobny do głosu dzwonka. Zaraz też temi samymi drzwiami wszedł białowłosy staruszek w kapie, zagrały organy, o których nawet nie wiedziałem że się tu znajdują, nie spostrzegłszy ich na razie — i rozpoczęły się nieszpory. Dziwnie wzruszające, dziwnie przejmujące wrażenie sprawiło na mnie to nabożeństwo tutaj — w głębi ziemi i głos organów i śpiewy na cześć Tego który stworzył niebo i ziemię, słońce i powietrze, zieloność i wszystkie cuda tego świata. On co jest tak potężny, tak wielki, On mocen jest wysłuchać modlitwy biednego artysty. On co o najdrobniejszym robaczku pamięta, wyjmie strzałę z piersi zranionego ptaka. O, jakże uniało kochać ten człowiek i jakbym ja go pokochał, gdyby tylko pozwolił na to! A jednak zapomniałem o nim przez cały dzień dzisiejszy, oczarowany widokiem gór i pięknościami podziemnego pałacu... I twarz jego blada stanęła przedemną

jak żywa, i ogarnęła mnie wielka do niego tęsknota. Gdybym mógł, dosiadłbym teraz konia i popędził na moczary. Dawno już nie modliłem się tak szczerze i tak gorąco, jak w tej podziemnej kaplicy, za wszystkich którzy mnie obchodzą i za tego człowieka, do którego serce moje rwało się coraz bardziej, choć go prawie nie znałem. Modliłem się o jego zdrowie, o jego spokój i o ziszczenie jego pragnień i nadziei, by ujrzął jeszcze nim umrze to co tak gorąco ukochał. (d. c. n.)



WIDOK Z GŁĘBI NA MOTEŁAWĘ.

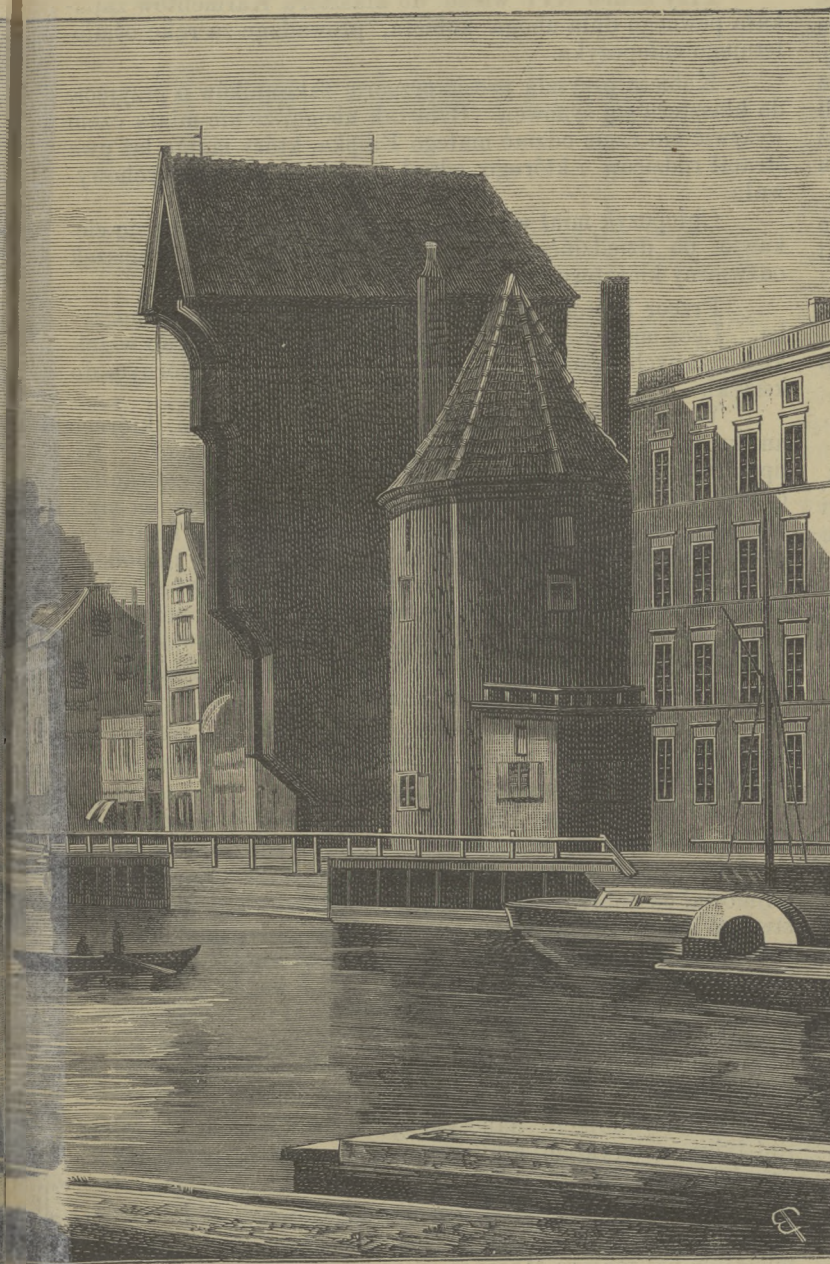
KRÓLOWA SZWEDZKA.

Opowiadanie Teresy Jadwigi.

(Dalszy ciąg).

Katarzyna podniosła się w milczeniu i ku drzwiom się skierowała; dziewczęta zawodzić poczęły, lecz ona nie obejrzała się nawet na nie. Szła jak duch, cicha, milcząca; straż ją otoczyła, zasłona spadła za niemi; znikli z oczu płaczących dziewcząt, lecz z niemi razem znikła też i Dorotka. Próżno

szukały jej towarzyszeki, próżno wołały — nie odezwała się, nie było jej tutaj. Tymczasem strażnicy z księżną minęli kilka wspaniałych komnat i dotarli do sieni, potem zszedłszy z szerokich kamiennych schodów, weszli w długi, ciemny korytarz, a z tego do lochów pod zamkiem się znajdujących. Katarzyna postępowała za strażnikami, nie pytając gdzie ją wiodą; w długim lochu, do którego weszli, a który oświetlony był słabo tu i owdzie wiszącymi kagańcami, widać było kilkoro drzwi. Żelazne rygle je zamykały; Katarzyna ze ściśniętym sercem



patrzała na nie, a ilekroć które mijali, pytała siebie w duszy, czy jego niema tam za niemi. Nareszcie przy jednych zatrzymali się: ten, co prowadził innych, dobył z za pasa pęk kluczy, zgrzytnął zamek i drzwi się rozwarły. Katarzyna spojrzała w głąb lochu, z piersi jej krzyk radości się wyrwał, wygnęła ramiona.

— Jan — zawołała — Jan mój drogi!

A z głębi lochu drugi okrzyk równie radosny wybiegł i z cieni jakie w nim panowały wysunął się książę Jan.

— Katarzyno! — zawołał — skąd ty tutaj? I rozłącze-

ni od dni kilku małżonkowie, znaleźli się w objęciach jedno drugiego. Strażnicy cofnęli się, zatrzasnąwszy drzwi z łoskotem za sobą, klucz zgrzytnął w zamku, zostali sami.

— Oni ciebie zamknęli w tym lochu wilgotnym, ponurym — krzyknął Jan, ten Eryk okrutny, niegodziwy, ten brat wyrodney, podstępny!

I chciał rzucić się ku drzwiom, rozbić je pięścią, lecz Katarzyna go zatrzymała.

— Błogosławiony niech będzie Eryk — rzekła spokojnie — spełnił mą prośbę, jam tego chciała. — Przyciągnęła męża do tapczana i siedli razem na garści słomy, jaka tam leżała; ona pocieszać go poczęła, on słuchał jej ponury, milczący, lecz powoli jej słowa pełne wiary w miłosierdzie Boże i nadziei w przyszłość, podniosły go na duchu, wlały mu w serce otuchę. Objął ją ramionami i rzekł:

— Kiedy ci tutaj będzie lepiej, jak tam wśród wygod było, więc i ja powiem: „Błogosławiony niechaj będzie Eryk”.

I poczęli sobie opowiadać wrażenia dni spędzonych w rozłące i w tej chwili czuli się szczęśliwi. Naraz szmer jakiś zwrócił ich uwagę, przypomnieli sobie gdzie są i dreszcz trwogi ich przeszedł; pełne niepokoju spojrzenia skierowali w stronę skąd szmer ów szedł, obójgu jedna myśl przebiegła przez głowę, myśl straszna, od której serca im bić przestały, że Eryk morderców na nich zesłał.

— Patrz tam, Janie — szepnęła Katarzyna, tuląc się do męża i jednocześnie palcem wskazując ku drzwiom — tam ktoś stoi.

W istocie przy drzwiach więziennych stała jakaś postać mała, niekształtna; przy słabym świetle kagańca, który migotliwy blask na nią rzucał, Katarzynie się zdawało, że ktoś kłęczy pod drzwiami, jakiś barczysty mężczyzna, że w ręku sztylet trzyma i w nich się wpatruje, jakby szukał ich serc...

Postać ta, gdy Katarzyna rzekła: „tam ktoś stoi“ wysunęła się na środek więzienia; to zwiększyło przerażenie Katarzyny, ukryła twarz na piersiach męża i ramionami go objęła, jakgdyby bronić przed ciosem chciała.

Książę wpatrzył się uważnie w zbliżającą się postać i naraz uśmiech rozjaśnił jego twarz.

— Czy nie poznajesz jej, Katarzyno — rzekł z uśmiechem — to Dorota.

Katarzyna z obawą jeszcze podniosła głowę i nie spuszczaając rąk z ramion męża, zwróciła znowu spojrzenie na ową tajemniczą postać.

— Dorotka! — zawołała po chwili głosem, w którym radość brzmiała, i ona teraz poznała ulubienicę, wstała pospiesznie z tapczanu i podeszła na przeciw karlicy.

— Jakim sposobem dostałaś się tutaj? — zapytała.

— Wsunęłam się za strażą tajemnie — odparła Dorota — szłam zdala za wami, razem z wami wyszłam z komnaty. Nie widzieliście mnie, bo noc mnie zasłoniła; stapałam tak lekko, by nie usłyszeli. Chciałam tu dostać się, gdyż myślałam, że przydam się wam może na co, książęno.

— A nie pomyślałaś o tem, że zamienisz wygodny, ciepły, jasny, wesoły przytułek, na zimny, wilgotny, ciemny loch, że tu z nami głodu i głodu zaznać będziesz mogła? — spytała Katarzyna.

— Myślałam o tem, że pani mojej lżej będzie znościć te wszystkie przykrości, gdy jedna z nas będzie przy niej; nie poszły inne, jam poszła.

— Zaczna duszo — odparła wzruszonym głosem Katarzyna i pochyliwszy się do karlicy, pocałowała ją w czoło. — Przydasz mi się niezawodnie — dodała — w nieszczęściu bratnie

serce, to ulga tak wielka, iż Bogu tylko za nie podziękować można, wszak prawda, Janie?

— Rzecz niezawodna — odparł książę — byle jutro nie rozdzielili nas z nią; lecz nie myślmy teraz o jutrze, nie w naszej mocy cośkolwiek zmienić, więc Bogu tylko polecić się możemy.

I znowu siedli obok siebie, rozmowa toczyła się dalej w tym posępnym lochu, a noc mijała powoli, dzień zawitał, lecz oni go nie widzieli; im — słońce, które tutaj dostać się nie mogło, zastępował kaganiec wiszący u pułapu.

Książę Jan przez te cztery dni, które przebywał tutaj, wiedział tylko stąd kiedy rano, kiedy południe, a kiedy wieczór, że zwykle o świcie posługacz więzienny śniadanie mu przynosił, w południe obiad, o zachodzie słońca wieczerę. Noc minęła im tak prędko, iż ani przypuszczali że to dzień na ziemi, ani na chwilę sen nie zacieżył im na powiekach; byli pewni, iż nie więcej jak parę godzin są z sobą dopiero. Jakież było zdziwienie księcia, gdy usłyszał kroki, zbliżające się ku drzwiom więzienia.

— Czyżby to było już rano — rzekł do żony — zdaje mi się, że mój opiekun idzie do nas. I wsłuchiwać się poczęli wszyscy troje.

— Mnie się zdaje, że nie jeden tutaj idzie, lecz kilku — odezwała się Dorota, która słuch miała niezmiernie czuły.

— I mnie również — wtrąciła Katarzyna — nie wiem czemu, ale się lękam czegoś; czyż nowa przykrość mnie czeka?

Ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi księcia.

— Ile ty cierpisz, iż żoną moją zostałeś — rzekł.

Katarzyna rzuciła ku niemu spojrzenie pełne wymówki, chciała mu coś powiedzieć, gdy wtem zgrzytnął zamek i drzwi więzienne rozwarły się z łoskotem, a w progu ich stanął jeden z tych, którzy wczoraj Erykowi do komnaty księżnej towarzyszyli; był to młodszy brat Jana, Karol, za nim kroczyło poważnie kilku panów szwedzkich. Weszli, skłonili się więźniom z godnością, Jan i Katarzyna podnieśli się zdziwieni temi odwiedzinami, a książę Karol, przystąpiwszy do nich, rzekł zwróciwszy się do Katarzyny:

— Księżno, bratowo moja, posłem króla Szwecyi jestem, więc to co powiem, to mówić będzie przeze mnie Eryk IV; z jego rozkazu bowiem tu przyszedłem. Król Szwecyi nie chce twego nieszczęścia, księżno, ma litość nad twoją młodością, żał mu, byś w lochu wilgotnym wędla, więc rzec ci kazał: „Jeśli żałuje królowa tego, że odmowną dała wczoraj odpowiedź temu, co o rękę jej prosił, niechaj wyzna to szczerze, a Eryk każe natychmiast otworzyć drzwi więzienia dla niej i znowu otoczy ją wygodami. Jeśli zaś zechce nadal dzielić dolę tego, co ściągnął na się gniew króla, w lochu kamiennym do śmierci zostanie, nie ujrzy więcej słońca Bożego, bo ten co godził na życie króla, nigdy już swobody nie odzyska“. Całej tej mowy wysłuchiwała Katarzyna w milczeniu, blada, drżąca, w oczach jej tłumiony gniew tlał, a obok gniewu cierpienie wielkie się malowało.

Skończył wreszcie przemowę wysłannik Eryka, skłonił się Katarzynie i czekał na odpowiedź; ona chwilę milczała, czekała aż gniew jej nieco się uśmierzy, by zbyt obrażającej nie dać odpowiedzi, nareszcie podniosła głowę, na czole jej spokój i duma świeciły.

— Powiedz, książę, królowi Szwecyi — rzekła wreszcie głosem, który drżał lekko — że przekładam loch ciemny i niewolę, z małżonkiem swym dzieloną, nad złocene komnaty i wszelkie rozkosze ziemskie bez niego używane. Powiedz mu, że o jedną łaskę go teraz tylko proszę: niechaj zapomni o mnie i w spokoju tutaj w tym lochu mnie zostawi.

Książę Karol skłonił się Katarzynie.

— Słowa twoje, Katarzyno, wiernie powtórzę Erykowi — rzekł i chciał cofnąć się ku drzwiom, lecz Jan go zatrzymał.

— Czekaj — rzekł — ja też słowo do niej powiem. Katarzyno — dodał, zwróciwszy się do żony — namyśl się jeszcze, ja uwalniam cię z przysięgi mi uczynionej.

— Więc i ty przeciw mnie! okrutnym jesteś Janie — z wymówką odparła Katarzyna.

A tyle było bólu w jej głosie, iż książę Jan pożałował swych słów, położył dłoń na jej ramieniu.

— Wybacz — rzekł głosem pokornym.

Więc to ostatnie słowo twoje, księżno Finlandyi? — zapytał po chwili poseł królewski.

(d. c. n.)

SŁYNNY WŁOSKI ARTYSTA.

Przy końcu XIV wieku do klasztoru Karmelitów zapukała pewnego dnia uboga kobieta, prowadząc za rękę ośmioletniego chłopczyka.

Kobieta przysłała prosić przeora zakonników o przyjęcie do klasztoru jej synowca. Była tak ubogą, że nie miała czem wyżywić ani czem odziać małego Filipka, który mając lat dwa stracił rodziców i którego odtąd z wielkim trudem wychowywała.

Chłopczyk miał wielkie, pojętne oczy i rozglądał się ciekawie po dziedzińcu, na który wprowadził go braciszek odźwierny klasztoru.

Przeor litością zdjęty, przyjął na wychowanie chłopczyka. Lecz mały Filippek o ile chętnym okazywał się do wszelkich ręcznych i ruchu wymagających zajęć, o tyle opornym do książki.

Wyraźnie widok liter przejmował go wstrętem, którego ani kary, ani łagodne zachęty przezwyciężyć nie mogły. Filippek osładzał sobie nieznosne dlań chwile nauki rysowaniem drzew, zwierząt i wszelkich przedmiotów jakie mu na myśl przyszły. Gdy z kawałkiem węgla w kieszeni stanął koło ścian, nie mógł nigdy oprzeć się chęci ozdobienia jej jakimkolwiek rysunkiem, a nie były to wcale owe koszlawe kreski i kółka, któremi często jego rówieśnicy pokrywają mury, sami nieraz nie wiedząc, co owe kreski i kółka przedstawiać mają.

Doniesiono przeorowi o niepohamowanym zapale Filipka do rysunków, niektóre z nich pokazano mu nawet.

— Ten chłopiec ma talent, wielki talent — wyrzekł po długiej chwili światły przeor. Kazał przywołać do siebie małego artystę i odezwał się:

— Filipie Lippi, Bóg obdarzył cię wielkim talentem, od dzisiaj zwalniam cię od czytania, będziesz się uczył malarstwa.

Filipka niezmiernie ucieszyła ta wiadomość. Coprawda nie pojmował on dobrze, na czym polegać będzie owa nauka malarstwa. Wiedział że malarstwo jest to oddanie nietylko kształtów lecz barwy przedmiotów. Ale czyż użycia farb uczyć się trzeba? On przecież nigdy nie uczył się rysować, a każdą rzecz oddawał z taką dokładnością, że każdy poznawał co przedstawia — a z taką łatwością, że pojął nie mógł dla czego to jego rówieśnicy, albo księży Karmelici, albo w ogóle wszyscy ludzie nie rysują, kiedy to sprawia taką wielką przyjemność.

Później dopiero nauczyło go doświadczenie, że talent jest tylko materyałem, z którego nauka wyrabia dzieła dla ludzkości korzystne.

Z nauki zaś korzystał tak pilnie, że doszedłszy lat siedmianastu wstąpił się już we Włoszech. Najulubieńszym jego mistrzem był malarz Massaccio, a najwięcej chwały dała mu postać św. Marcyala, którą wymalował na jednym z filarów kościoła Karmelitów.

Wtedy to udał się do Ankony. Gdy pewnego dnia porzuciwszy miasto wraz z kilkoma przyjaciółmi, poszedł nad brzeg morza, przyszło im na myśl popłynąć łódką.

Z piosnką na ustach odbili od brzegu i popłynęli tak daleko, że ziemię stracili z oczu. Nie przypuszczali wcale, że nie ujrzą jej tak prędko. Napadli na nich bowiem korsarze maurytańscy i zabrali do niewoli. Ośmnaście miesięcy spędził u nich Filip Lippi i może umarłby nie zobaczywszy rodzinnego kraju, gdyby nie wyratował go talent.

Pewnego dnia wyrysował na ścianie portret swego pana, a portret ten tak był podobny, że uradowany Maurytanin ofiarował mu wolność w zamian za kilka jego malowideł.

Powrócił tedy Lippi do Włoch i zatrzymał się w Neapolu.

Z radością wielką przyjęły Włochy wieść o jego powrocie. Sława jego rosła, lecz utworami swemi zachwycił nie tylko współczesnych; dotąd podziwiają znawcy i miłośnicy malarstwa jego malowidła, któremi zdobił kościoły Florencji, Rzymu, Perugii, Pistoi i wielu innych miast włoskich.

Filip Lippi żył lat 57 pracując dla sztuki do ostatniej chwili, cieszył się przyjaźnią Papieża Eugeniusza IV, książąt Medyceuszów i wielu innych władców państw włoskich.

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

— A cóż znaczą te płaskorzeźby? — spytała Lucia przyglądając się filarom, stojącym na straży po obu stronach niszy. — Patrz, Leonie...

— To jakaś bardzo zabawna historia! — podchwycił Józio — jakiś wspaniały personat z mitrą na głowie, klęczy zwrócony twarzą w stronę niszy i przeciąga sobie przez język, kolcami najeżony patyk! Obok niego stoi ktoś drugi, także bardzo wspaniały i podaje mu na dłoni palmę...

— Jest to wyobrażenie ceremonii, którą właśnie na cześć boga mądrości odprawiali jego kapłani, a nawet i żarliwsi z pobożnych.

— Ładna ceremonia! niema co mówić — oburzył się Józio. — Jakże oni potem mówili?

— Nie mówili już wcale, uważając milczenie za najwyższą oznakę mądrości.

— Trzymali się zdania Koranu: „Mowa jest srebrem, a milczenie złotem” — dorzuciła miss Oliwia, znacząco spoglądając na Józia.

— Dziękuję za takie złoto! — zawołał Józio z akcentem tak głębokiego przekonania, że roześmiali się wszyscy, a Lucia mszcząc się za wszystkie dokuczania brata, półgłosem się odezwała:

— Zielone winogrona, panie Józefie!

— Niedoszłe bóstwo mądrości! — odciął się jój Józio, za co miss Oliwia pogroziła mu palcem po nosie.

Ale Józio już tego nie widział, bo wyprzedzając wszystkich, wyniósł się czempredzję z przybytku boga mądrości.

VII.

Józio zaczyna rozumieć. — Żywy świecznik. — Koncert Luci. — Niespodzianka. — Polowanie. — Imieniny ojca. — Napad. — Tkliwe serce Morilliny.

Józio pamiętny napomnienia, jakie dostał od Benita z powodu kadzielnicy, nic nie mówiąc nikomu, wybrał się z wiernym Indyaninem na wycieczkę w głąb puszczy, ciągnąc się za starym pałacem i wypytywać go zaczął, czy nie zgorszą się tem Indianie, że biali przybysze rosgospodarowali się w starożytnym gmachu.

— A dlaczegożby nie? — odparł Benito — co ludzie dla siebie wznosili, to służyć może do użytku ludziom, chociażby i takim, jak „blade twarze”.

— Więc ta część, w której mieszkamy, była pałacem? — zagadnął Józio — a tamta? Świątynią była? prawda?

— Sam to widzi królewicz. Bogom tam cześć się składa.

— Jakto? do dziś dnia? — ciekawie przerwał Józio — schodzą się tu dziś jeszcze na obrzędy? Odpowiedz mi choć raz szczerze, mój Benito, mój kochany, mój najlepszy!

I Józio z dziecięcą pieszczotliwością rzucił się na szyję Indyanina. Ale Benito zazwyczaj z wdzięcznością przyjmujący objawy przywiązania swego ulubieńca, tym razem usunął go zlekka od siebie, mówiąc.

— Benito swoim nie wróg, choć bladym twarzą wierny.

— Ale wiesz przecie, że ani ja, ani ojciec nie jesteśmy wrogami waszymi — nalegał Józio — nikt z nas nie użyje tej wiadomości na złe. Tylko tak bym chciał coś wiedzieć o waszych dawnych obrzędach, albo nawet i zobaczyć je kiedy...

— Nasi zewsząd ustąpili już bladym twarzą — z pełną goryczą odpowiedział Benito — niechże im choć zostaną świątynie.

— Ale któż się w nich modli? przecież tu w około puszcza głucha...

— Królewiczowi tak się zdaje — brzmiała zagadkowa odpowiedź. Naszym za dom puszcza stoi...

— Możemy więc i tu spotkać które z plemion waszych?

— Nasi znają puszcze, jak dom własny — powtórzył Benito — a tam gdzie budowano dawniej, tam i dzisiaj łatwo trafić... tutejszym.

Wiedział już Józio, że gdy Benito nie chce dać wyraźnej odpowiedzi, to na nic się nie przyda pytania mu zadawać, i w roztrzępanej jego główce wciąż uparcie krążyło pytanie, co jest ową spójnią potężną, która obecność łączy z przeszłością i nędznym, zdziczałym plemionom cześć każe i miłować pamiątki minionej świetności. Z tego rodzaju pytaniem zwracał się zwykle do p. Tadeusza, bo on jeden był w stanie udzielić mu odpowiedzi... Dotąd jednak nie robiły one na Józio wielkiego wrażenia: wpadały mu w ucho, nie przenikając do serca, nie budząc w nim uczuć, jakie budzić były powinny.

Dziś wszakże Józio inaczej był jakoś usposobiony. Zawiązał z p. Tadeuszem rozmowę, która długo, długo się przeciągnęła, a to co mu młody człowiek powiedział, wyrło się głębokimi ślady w umyśle podrastającego już chłopca... Po raz pierwszy zrozumiał, uczuł, że zagadkowa dlań dotąd spójnia jest siłą istotną, żywą, i w jego sercu żyjącą po raz pierwszy zdał sobie sprawę z przyczyn, dla których p. Tadeusz przekłada rodzinne miasto nad wszystko...

— Więc to tak? — dumał chłopiec w wycieczce, którą sam na sam z Morillem przedsięwziął. — Więc człowiek nie jest luźną jednostką, ale ogniwnem łańcucha... a ziemię, tę ziemię na której stosownie do szerokości geograficznej rośnie mahoń lub pszenica, kochają ludzie gorąco? Kochają i tęsknią, i zapomnieć jej nie mogą! To dziwne... Nie rozumiałem tego dotąd!

Zrozumiał jednak teraz i od tej pory przestał nalegać pytaniami na Benita: szanował u Indyanina cześć dla przeszłości i miłość dla podajń starych.

Do wieczora prawie zeszło mu na tych rozmyślaniach, i p. Walery z miss Oliwią zaczęli już być o niego niespokojni, nie wiedząc gdzie się podziewa.

Księżyc już wschodził, gdy głośnie i wesołe szczekanie Morilla oznajmiło powrót nieobecnych: pana i psa. Na ten odgłos wybiegła na taras Lucia, która pomimo często się zdarzających, słownej szermierki z Józkiem, żyć bez niego nie mogła; wybiegła też w susach i podskokach Morillina, stęskniona za swoim opiekunem i z balustrady schodów zwinnie na kark mu zeskoczywszy, odbyła na jego grzbiecie wyjazd tryumfalny.

Z tarasu roztaczał się widok przepyszny. U stóp piramidy pokrytej kobiercem traw i kwiatów o świetnych barwach a upajającej woni, szumiął bór gęsty, owa puszcza, która „domem” się stała dla wywłaszczonych. A w pośród drzew, po przez splecione ich konary, przez gęste lian splety, migało światelek tysiące bladych, rojem unoszących się w powietrzu. Ile razy zaś ukrył się księżyc za drzewa, światelka te żywszym jaśniały blaskiem, aż las cały zdawał się płonąć odświętną jakąś iluminacją.

— Złoty Motylu — odezwał się nagle Benito do Luci, zapatrzonej na cudną gonitwę światel — zapalujemy na „cucuyos” (tak zowią krajowcy owady, które u nas noszą nazwę świętojańskich robaczków.)

— Ach! i owszem! — zawołała ucieszona Lucia. — Nie wiem tylko, czy miss Oliwia pozwoli iść do lasu?

I z powątpiewaniem zwróciła się do nauczycielki.

Miss Oliwia nie zdążyła jeszcze zaprotestować ze zgro-

zą, przeciw tak awanturniczéj wycieczce, gdy szybko podchwycił Benito.

— Nie potrzeba iść do lasu. Urządzimy polowanie na galeryi.

— O mój złoty Benito! — wykrzyknęła Lucia radośnie, bo od wyjazdu z Flores pragnęła spotkania tych ślicznych owadów, które się ukazują w pewnych tylko porach roku i nie we wszystkich miejscowościach.

— Jakże my je łapać będziemy?

— Zaraz to Złoty Motyl zobaczy. Proszę za sobą.

I powiódł wszystkich za sobą w głąb galeryi, gdzie miał już przygotowane żywiczne pochodnie, które wnet zapaliwszy, każdemu dał do ręki po jedną. Zwabione światłem owady rojami całemi uwijać się zaczęły po galeryi, a Józio i Lucia, nawet p. Tadeusz i kuzynek inżynier, łowili je z zapalaniem; miss Oliwia zaś zawsze we wszystko zaopatrzoną, wydobyła z jakiejś podręcznej walizki ogromną i gęstą siatkę, którą Benito rozpiął na giętkich prętach i napełniwszy ją lucyolami (phyrophorus), urządził z niej wspaniały kandelabr. Chciał także ozdobić takim samem żywym światłem włosy Luci, ale ta nie dała się nakłonić do zadawania owadom męczarni, w czem poparł ją Józio ku wielkiemu zdziwieniu miss Oliwii, zawsze mu to zarzucając, że za mało życie zwierząt szanuje.

— Skądże dziś taka zmiana w Józiu? — zagadnęła go miss Oliwia — nigdy dotąd nie przychodziło ci to na myśl?

Józio rzucił okiem na p. Tadeusza i z niejakim wahaniem odparł:

— Bo zdaje mi się, że im także miłe musi być życie.., w miejscu, w którym się urodził.

— Czy przemawia tak przez ciebie żal, żeś Flores opuścił? — zapytał p. Walery, który najzacniejszym będąc człowiekiem, nie poczuwał się wszakże do żadnej narodowości.

— Flores nie jest moją ojczyzną! — żywo zaprzeczył chłopak.

— Jak to nie? tam przecie się rodziłeś?

— Cóż z tego? — odrzucił Józio — nie hiszpańskie noszę nazwisko i ojczyzną moją jest kraj mojego dziada. Prawda ojcie?

Znienacka zaskoczony pytaniem, nie zaraz odpowiedział p. Walery. Po chwili milczenia dopiero, wstał z miejsca i kładąc rękę na bujnej czuprynie swego jedynaka, rzekł ze wzruszeniem:

— Masz racją, chłopcze mój drogi. Obadwaj jesteście synami cudzoziemek ale narodowość idzie za nazwiskiem i tak samo nie jesteście ty Hiszpanem, jak i ja nie Francuzem jestem. Tylko widzisz... wstyd nam obydwóm. Obaj tak mało znamy naszą mowę że nawet nazwiska naszego nie umiemy wymówić z takim akcentem, z jakim pamiętam, wymawiali je koledzy ojca mego.

— Nauczymy się od p. Tadeusza, ojczulku — zawołał chłopak, przesyłając naczycielowi spojrzenie wymownie świadczące o wdzięczności za to wszystko, czego się już od swego mentora nauczył.

— Ja, ojczulku — pochwaliła się Lucia — umiem już trochę po polsku.

— Cóż ty umiesz, dziewczeczko moja? — spytał p. Walery, z miłością patrząc na Złotego-Motyła, którego warkocze

jaśniały połyskiem bladego złota, przy blasku od żywego światła bijącym.

— O! dużo rzeczy! Pacierz umiem calusienki, i wierszy trochę i dużo, dużo pieśni różnych.

I pod dachem starych władców Meksyku, pod pałacem niebem równika, srebrzysty, świeży głosik dziewczęcia zadzwonił uroczystą nutą: „Bogarodzico — Dziewico...“.

— Skądże ty to umiesz, Luciu? — pytał ojciec zdumiony

— Znalazłam wśród książek ojczulka, tych co jeszcze z Europy przybyły, stare „Śpiewy historyczne.“ Na początek jest tam pieśń ta z muzyką. Umieć inne jeszcze, nowsze..

(d. c. n.)

Zagadka rebusowa.

Z osobistego zaimka rzeka
Zadłużonego trapi człowieka.

ZADANIE KONIKOWE.

ułożył Stefan K. dla Gwoździka.

t	w	o	j	ć	a	a	ć
w	s	a	a	e	a	a	k
a	w	j	d	z	n	i	s
o	t	i	z	d	s	e	d
o	ć	e	z	ć	n	z	s
s	r	b	s	ł	w	ć	j
n	j	e	t	u	ż	o	e
p	ó	a	u	z	s	o	y

ROZWIĄZANIA DO N-ru 18-go.

Łamigłówki sylabowej:

1. Samojedzi. 2. Zamość. 3. Anam. 4. Jabłoń. 5. Narew
6. Ostróżka. 7. Ciechocinek. 8. Hekla. 9. Ajaccio.

Szajnocha.

Rebus: Czas jest najlepszy doradca.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska (z drzew.) — Królowa szwedzka, p. Teresę Jądwigę. — Widok z Gdańska na Motławę (drzeworyt). — Słynny włoski artysta. — W dziewiczych lasach Ameryki. — Łamigłówek i rozwiązań. **Dodatek:** wiersz (z drzew.) — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy, p. A. Do. — Dobry pomysł, komedijk w jednej odsłonie. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

WIECZORY RODZINNE.



Do kredensu ktoś się skrada...

To Anusia! Nie wypada!

Czy panience nie wiadomo,
Że to brzydko być łakomą?

Po krzeselku ktoś się wspina...

To Anusia! Wie dziecina,

Że na półce, tam u góry,
Zawsze stoją konfitury.

Ktoś z półeczki słoik chwyta...

To Anusia! Wyśmienita

Galaretka! Choć nie głodna,
Pełen słoik zjadła do dna.

Ktoś się potem dławi, krztusi...

To Anusia! Jeszcze musi

Wyznać mamie prawdę szczerze.
Chociaż wstyd ją wielki bierze.

Ktoś w łóžeczku stęka, biada...

To Anusia! (Nie wypada

Wręcz powiedzieć, na co chora)
Sprowadzili jęj doktora.

T. P.

MOJE DZIECI.

OPOWIADANIE JEDNEJ MAMY.

P. A. DO.

(Dalszy ciąg).

— Ach, jak to można takie straszne rzeczy wymyślać! Jabym sobie ich śmierci nigdy nie darowała... jabym chyba za pokutę na resztę życia wstąpiła do klasztoru-

— Ale co też ty wygadujesz! Przecież by to by-

Dodatek do N. 20, 1891 r.

ło niechcący; skąd że ty możesz wiedzieć, że oni leżą pod dywanem? Niewiedomość grzechu nie czyni.

— Ale zawsze miałabym na sumieniu życie dwojga ludzi... Przecież jest na to wyborny sposób: postawię domek na komodzie i będą musieli póty siedzieć, póki sama po nich nie przyjdę.

— Aha! a na komodzie zawsze leży twoja robota; liliputka mądra, rzuca kłębek na ziemię, po nitce oboje się na dół spuszcza i dalej w świat szeroki! Wikcia właśnie chcwa suknie mamy do szafy, nowość ich zaciekawia; korzystając ze drzwi otwartych wlażą także do szafy. Wikta prędko zamyka i przycina nogę liliputowi. On naturalnie krzyczy w niebogłosy, ale ktoby tam brzęk komara usłyszał! Nazajutrz rano mama otwiera szafę, biedne stworzenie leży omdlałe ze złamaną nogą, a nieszczęśliwa żona, cała we łzach, przeklina godzinę, w której się do szkaradnych olbrzymów dostała. Mama czempredzěj posyła po doktora, Wikta leci po pana Rydygiera...

— Czy to ten... co to Wanda?

— Zapewne, bo nawet bardzo do niego podobny; ale nie przerywaj. Pana Rydygiera niema w domu, wyjechał na jakąś operację, przychodzi inny doktor także okropnie mądry. Ale co tu mądrość pomoże, kiedy nigdy w życiu takiego maleństwa nie widział... Desperacya! liliputka płacze, liliput w gorączce leży, noga, dzięki Bogu, tylko złamana, nie strzaskana, jak się pierwotnie obawiano. Trzeba ją złożyć, a tymczasem doktor nie wie jak się wziąć do tego, bo palce ma za grube. Choć samemi koniuszczkami się dotyka, to od kostki do kolana we dwóch jego palcach cała noga się zmieści...

— Ach, Boże, co tu robić?—wzdycha przejęta fantastycznym opowiadaniem brata, Helenka.

— Mama chętnieby to sama zrobiła, bo ma daleko mniejsze ręce, ale cóż, kiedy nigdy nie uczyła się chirurgii, więc ani pojęcia o tem nie ma. Zgadnij co dalej?

— Ach, nie nudź, tylko mów!

— Nie powiem, spytaj mamy albo taty...

— Dobrze, przy obiedzie się spytam mamy, bo mama wszystko wie doskonale.

X.

Rok szkolny dobiegał końca... w gimnazjum wrzało gorączkowe życie. Starsi uczniowie pojmujący potrzebę nauki, pewni, że w miarę sił i zdolności sumiennie spełniali swe obowiązki, spokojnie (z bardzo małemi wyjątkami) oczekiwali świadectw i promocyj. Wielu—bardzo wielu—miało pewność, że wytrzymałą pracą zdobyli stopień celujący; a ta myśl i ta pewność była im nagrodą za niedospane noce, za godziny mokołu; była im nadzieją, że i w dalszem życiu dojdą wymarzonego celu, zostaną pożytecznymi — kto wie — znakomitymi ludźmi na pociechę i radość rodzicom.

— No, dzięki Bogu, jutro już będę sobie wielkim pa-

nem na całe dwa miesiące! — zawołał Jerzy, wracając ze szkoły o godzinie 5-tój po południu. — Jutro rano dowie się Europa, że jestem porządny chłopak i uczyć się.. ano, zobaczycie świadectwo.

— To już taki sądny dzień jutro doprawdy — wyrwał się Staś — ja także zaraz po 9-tój mam iść z „panem“ i tatusiem do tej wielebniej szkoły... ani ich znam, ani oni mnie, i będą mnie męczyli.

— Aha! Słyszysz, Jerzy? Tak się niby to cieszył, wyskakiwał z radości, jak tylko wspomniał o egzaminie, a dziś, kiedy strach mu w oczy zagląda — to sądny dzień jutro będzie...

— O, tyś mądra! Łatwo ci śmiać się ze mnie, bo sobie spokojnie przy mamie siedzisz; ani ty o całym świecie, ani cały świat o tobie nie wie.

— Ot — cicho, bębny! Nie zatruwajmy sobie ostatnich kilku godzin. Ja i tak nie mam nic do roboty, bo już tylko rozdanie świadectw jutro rano, a ty, Stasiu, czegoś się przez cały rok nie nauczył, tego za dwie godziny nie złapiesz. Więc zróbmy sobie jaką wspaniałość! Albo poślijmy po wszystkie znajome dzieci, albo sami gdzie w świat powędrujmy. Ja idę do mamy prosić o pczwolenie.

— No, to już lepiej idźmy do kogo, a jutro w razie tryumfu wyprawi nam mama bal, jakiego świat nie widział. Prawda, mamusi?

— Prawda, synku; ale, jak sam powiedziałeś, tylko w razie tryumfu. A nawet poradzę wam, co macie zrobić: wy, chłopcy, zamiast biedną Wikcię rozsyłać po całym Krakowie, idźcie zaraz do wszystkich znajomych dzieci po kolei i zaproszcie sobie kogo zechcecie na jutro na godzinę trzecią po obiedzie. Jeżeli świadectwo Jerzego (jak się spodziewam) będzie bardzo dobre, jeżeli Stasiowi egzamin się uda, wtedy nastąpi sute przyjęcie: czekolada, ciasteczka, rozmaite dobre rzeczy — nawet lody!

— Nawet lody! — powtórzyło echo w stronie, gdzie siedziała Helenka.

— W razie zaś...

— Ach, mamó! O takich smutnych rzeczach nie trzeba mówić, ani nawet myśleć! — przerwał Jerzy. — Wio, Stanisław! Gdzie najpierw idziemy?

— Do cioci Zosi, bo najbliżej, a potem już po porządku jak nam będzie po drodze.

— Tylko nie zasiedźcie się długo, na siódmą macie być z powrotem.

— Dobrze, mamó. No, marsz! Tra tam tra tam tra ta ta ta ta... wojsko wyrusza z obozu... żegnam cię, piękna damo! Tu z komicznym uszanowaniem przykląkł Jerzy na jedno kolano przed Helenką i rękę położył na sercu.

— Ty, nieznośniku zawsze sobie drwisz ze mnie.

— Ja? Ho!d ci składam jakby jakiej królownie — a tobie jeszcze źle? Chodź, Stasiu, porzućmy te progi niegościnne, gdzie nami piękna a harda dziewczica pomiała, a idźmy w świat szukać przygód i niebezpieczeństw jak ten pocziwy Don Kiszot ze swoim Sanszo Pansem. Tra tam! tra tam! tra ta ta ta! — Za chwilę obaj chłopcy już byli daleko. — Musieli jednak poselstwo swoje spiesznie odbywać, bo w godzinę ku wielkiemu zdziwieniu ma-

my, już byli z powrotem. Wszystkie znajome dzieci z radością przyjęły zaproszenie — a nadzieja pomyślnego zakończenia szkolnego roku balem i igrzyskami, i naszym malcom wesoło świeciła w oczach.

Zazwyczaj prawie co dzień strofowała mama synów za nieuwagę przy pacierzu: To Staś opuścił jaki wyraz, to znów Jerzy z takim pośpiechem recytował Ojcie nasz i Zdrowaś, że zachodziła obawa, czy Pan Bóg zechce słuchać takiej paplaniny. Mama obecna zawsze przy pacierzu upominała, gniewała się, sama klękała i modliła się głośno razem z dziećmi, by zmusić do uwagi. Dziś jednak obaj bracia pobożnie i z całym przejęciem odmówili wieczorne modlitwy, a na zakończenie Jerzy dodał własnego pomysłu prośbę do Matki Boskiej, aby się zlitowała i pozwoliła szczęśliwie przebyć dzień jutrzejszy.

(d. n.)

DOBRY POMYSŁ.

KOMEDYJKA W JEDNÉJ ODSŁONIE.

OSOBY.

LILLA lat 11.

JANINKA lat 10, jęj siostra.

STAŚ lat 9, jęj brat.

HELENKA ich kuzynka, lat 11.

WIESIO jęj brat, lat 9.

KASIA służąca.

JÓZIA mała wiejska dziewczynka,

Rzecz dzieje się na wsi u rodziców Lilli, Stasia i Janinki.

SCENA I.

(Pokój skromnie umeblowany. Na środku stoi stół, koło niego krzesła, z boku niewielka szafka. Wchodzi Lilla, nucąc wesoło.

LILLA. Ach! wiosna, miła wiosna. Myślałam już, że ta zima nigdy się nie skończy. Jak też przyjemnie na świecie, trzeba szybko otworzyć (otwiera szybę). Janince się zachciało po ogrodzie chodzić, zabłoci się tylko; muszę zawołać, żeby przysłała mi pomódz do przygotowania naszego balu na powitanie wiosny (wychyla się i woła). Janinko! chodź prędko, nakryjemy stół! (słychać głos za sceną). W tej chwili idę. (Lilla odchodzi od okna, otwiera szafkę i wyjmuje talerzyki, łyżeczki i t. d. Wchodzi Janinka.)

JANINKA. Jestem; mówiłam też Kasi, żeby przysłała z serwetą. A teraz, Lillo, daj ściereczkę; powycieram talerzyki (bierze od Lilli ściereczkę i zaczyna wycierać). Jakże się cieszę, że tak wesoło rozpoczniemy wiosnę!

LILLA. O! i ja również jestem bardzo z tego zadowolona. Nie wiesz, czy Staś pojechał tą małą bryczuszką po Helenkę i Wiesia?

JANINKA. O, dawno! z pewnością już jadą, najwyżej za kwadrans będą tutaj. Kocham za to Helenkę, że nie marudzi, jak się gdzie wybiera; wszystko robi raz, dwa, trzy i już gotowa, nie tak jak Adelcia G., która przy ubieraniu straci czasem parę godzin na różnych kaprysach. Naprzykład ostatni raz gdy tam byłam, nie wiedziała w którą suknię ma się ubrać na spacer; każda jęj się wydawała złą, nieładną i jak zaczęła się namyślać, tak ze spaceru nic nie było, bo deszcz zaczął padać... (po chwili) Lillo, czy spisałaś Kasi sprawunki nasze do miasta?

LILLA. Jeszcze nie, czekam aż przyjdzie Helenka, to ona nam też co doradzi; ale zdaje mi się że idą.

JANINKA. Tak, to oni zapewne (*Biegnie do drzwi. W tej chwili wchodzi: Helenka, Staś i Wiesio. Wszyscy się witają.*)

LILLA. Chodź, Helenko, rozebrać się w drugim pokoju.

JANINKA. Chodź, chodź do mego ogródka, to ci zaraz pokażę jak mi ładnie powschodziły flance różnych kwiatów (*wychodzą.*)

SCENA II.

STAŚ I WIESIO.

STAŚ. Słuchaj Wiesiu, jak ja się cieszę, że to już wiosna, co to z nią przybywa zaraz przyjemności. Będziemy znów chodzić na ryby; ale czy złożyłeś sobie dosyć pieniędzy na ładną wędkę? Ja już sobie złożyłem parę złotych, będę miał prześliczną!

WIESIO. O! ja mam już całego rubla; nietylko wędkę sobie sprawię, ale i siatkę na motyle. Dopiero to ich nałapiemy! Ułożymy ładny zbiór, dopomoże nam do tego Stefek, gdy przyjedzie na wakacje. Ach! przypomniała mi się jedna przygoda z motylami. Co się też wtedy ze mnie wyśmiewali potem przez długi czas!

STAŚ. Powiedz jak to było?

WIESIO. Widzisz, raz u cioci w Wólce zobaczyłem ślicznego motyla, dalejże więc za nim w pogon i tak się rozpędziłem, że nie widziałem iż biegnę prosto w okropną kałużę. Już trzymałem motyla za skrzydła, gdy w tem chlup! i leżę już cały w najokropniejszym błocie, a motyl buja sobie wysoko! Musiałem się zupełnie przebierać, nawet myć, bo całą twarz miałem powalaną błotem. Jak się też ze mnie wyśmiewali potem przez długi czas!

STAŚ. Wiesz co, że to było bardzo zabawne (*śmieje się*) ha, ha, ha... I ja także miałem podobny wypadek, gdy byłem u stryja Kazimierza, z tą tylko różnicą, że wstawszy raniutko poszedłem nad staw łowić ryby, usiadłem nad brzegiem, założyłem wędkę i ni stąd ni z owąd zdrzemnąłem się. Naraz czuję, że mi jakoś zimno i zsuwam się gdzieś w przepaść; przerażony otwieram oczy, a tu widzę, że do połowy siedzę w wodzie i coraz dalej się zanurzam. Na szczęście nie było tam bardzo głęboko; śmiejąc się sam z siebie, pobiegłem zmienić ubranie.

WIESIO (*śmiejąc się*). Nie spodziewałeś się takiej kąpieli. (*Wchodzi: Helcia, Lilla i Janinka.*)

SCENA III.

LILLA. Z czegoż się tak śmiejecie, moi panowie?

STAŚ. Opowiadamy sobie różne przygody.

WIESIO. Jużśmy się ułożyli, że kupujemy sobie wędki i siatkę na motyle.

JANINKA. A pozwolicie mi razem z wami czasem łowić ryby, lub łapać motyle?

STAŚ. Z wielką chęcią, moja panno siostrze, ale tylko w takim razie, jeżeli będziesz bardzo grzeczną.

JANINKA (*śmiejąc się*). Proszę, jaka powaga! (*prze-drzeźniając*). Jeżeli będziesz grzeczną... Komu to mówić! (*wzrusza ramionami*).

LILLA (*przysuwa Helence krzesło*). Siadaj, Helenko, i radź co mamy kupić na naszą ucztę (*siadają*).

HELENKA. Przedewszystkiem trzeba kupić czekolady, bo to chyba rzecz najlepsza. Dalej wy znówu radźcie.

STASIO. Ja głosuję za orzechami i migdałami.

JANINKA. Ja za daktylami i figami.

WIESIO. Ja radzę cukierki i pierniki.

LILLA. No, a ja zakończę to ciastkami wszelkiego rodzaju.

STASIO. Brawo! to będzie bal prawdziwy.

HELCIA. Trzeba więc zawołać Kasi i spisać jej to wszystko, bo nie spamięta.

LILLA. Idź, Janinko, po atrament i pióro.

JANINKA. Dobrze, dobrze, przyślę tu zaraz Kasię, a później pójdziemy grać w krokieta (*wychodzi*).

WIESIO. Jaka szkoda, że wody jeszcze nie opadły, bo przejechałibyśmy się czółnem po jeziorze.

STAŚ. Możemy to sobie wynagrodzić konną jazdą. Przyznam się coprawda, że sto razy wolę galopować na moim kucyku, niż jeździć czółnem. A wiesz Wiesiu, będę miał nowy czaprak, ojciec mi go obiecał w nagrodę za dobre stopnie w dzienniku.

WIESIO. O, i ja także za moje stopnie mam obiecane ładne czółno ze sterem, z wiosłami... Ach, dopiero będę używać! Ja tak lubię sunąć po powierzchni wody, gdy jeszcze wiatr mi dopomaga.

HELCIA. My też nie byliśmy wyłączone od nagród za pilność, moi panowie; ja na przykład, dostałam śliczne album.

LILLA. Ja wszelkie przybory do szycia w bardzo ładnej szkatułce, a Janina dostała dużą lalkę z włosami w balowej sukni. (*Wchodzi Janinka niosąc pióro, kałamarz i papier.*)

(d. n.)

ZAGADKA.

Litera, litera i jeszcze litera

Pierwiastek znanego przysmaku zawiera.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

dla Gołąbki i Jeżynki Wersalskiej od Rusałki z nad Dżwiny.

Z następujących sylab: ne — li — is — no — lew — we — han — omsk — gro — pa — ułożyć 5 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół i końcowe w przeciwnym kierunku utworzą nazwę dwóch miast.

Znaczenie wyrazów: 1. Góra w Apeninach. 2. Dawna stolica Persyi. 3. Zwierzę z rodziny kotów. 4. Przyładek w Afryce. 5. Forteca nad Irtyszem.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 18-go.

Szarady: Si — ko — ra.

ŁAMIGŁÓWKI.

1. Dama. 2. Robak. 3. Ural. 4. Głowa. 5. Arak. 6. Masło. 7. Ambra. 8. Towar. 9. Kair. 10. Armia. Druga Matka.

Skrzynka do listów.

Bylibyśmy radzi, gdyby nas **Skrzetuski** zechciał zawiadomić skąd tak fałszywe zaczerpnął wieści? Możemy go zapewnić, iż nic podobnego nie będzie miało miejsca. Zagadnienia magicznego umieścić nie możemy, łamigłówka się przyda.

Dla braku miejsca w krótkich tylko wyrazach odpowiadać wam mogę, siostrzyczki, na liściki które mi darzycie. **Kujawianka** stała i częstą jest moją korespondentką, jej więc najpierwszej odpowiadam na zadane mi pytania. Pisemko nasze umieszcza wtedy tylko nadesłane mu artykułki, jeżeli te na druk zasługują. Odpowiedź dotycząca się wyspy **Atlanty** była w Nr. 35 r. z. Niezadługo zapewne dowiemy się, co **Władzio** zapisywał w książeczce. O liścikach nie zapomnę, ale powtarzam, że Redakcja prosi, aby po jednym tylko na raz przysyłać, bo więcej nad jeden drukować niema miejsca. „W dziewiczych lasach“ nie jest napisane przez żadną z wymienionych autorek. Czy komedyjka „Wycieczka do lasu“, nie wydaje ci się odpowiednią? może znajdziesz to, czego potrzebujesz w zbiorze komedijek p. t. „**Trójlistek**“? Na wszystkie pytania chętnie odpowiadam i chętnie wypełniam zlecenia, kochana **Niezapominajko z nad Warty**—rozumiem też smutek, jakim cię przejmuję myśl o rozstaniu się z ukochaną nauczycielką. Wszystkie wasze wrażenia i smutki odbijają się w sercu mojem, bo jak słusznie powiadasz **Filaretko**, tak niedawno sama przez nie przechodziłam. Doświadczenie nauczyło mnie jednak, że kto z dobrą wolą idzie do ludzi, ten nie znajduje w nich wrogów i dlatego śmiało powiadam: nie bój się świata i zwiększonej w obec niego odpowiedzialności, uzbrój się w mocne postanowienie podolania wszystkim jego obowiązkom, a z Bożą pomocą jakoś to będzie! Jeżeli kiedy, to w tym wypadku wyrażenia tego użyć się godzi. **Jutrzenko i Pszeniczko**, zazdrość mnie bierze na myśl o fiołkach, które zbieracie w ogrodzie, gdy my zadawałniać się musimy kupowanemi na ulicach bukietkami. O „wiosennych kwiatkach“ nigdy się nie zapomina, **Stokrotko z nad Pilicy**, tem mniej zaś **Jodelko z nad Noteci** o tych, którym po ciężkiej stracie należy się słowo współczucia. Ach! jak to boli, że „wszystko idzie zwykłym trybem“, choć ukochanę osobę zabrakło. To też Bogu dziękuj, że matce twojej oszczędził tej boleści, **Złota Pszczółko**, dziękuj tem goręcej, skoro z własnej winy chorowałaś. Mnie za odpowiedź, nie wiem czy podziękujesz: wiedząc bowiem, jak mało jest miejsca w **Wieczorach**, nie mogę prosić o nie obcinanie liścików. Jest ich tyle, że z konieczności krótkie być muszą, aby wszystkie dały się pomieścić. Podziękowanie **Ciszy wieczornej** nie mnie się należy, bo nie ja rozporządzam umieszczaniem liścików, ale serdeczne słowa twoje, siostrzyczko, biorę sobie na własność. Pocziwa moja **Biała Ostróżka** już od dawna przyzwyczaiła mnie do nich. Zdaje mi się, droga moja, że Redakcja dała czytelnikom dostatecznie wyjaśniającą odpowiedź na pytania o wyspę **Atlantę**. Z jaką to ochotą popłynęła by tam **Horpyna**, która takim macherzyńskim staraniem otacza kwiaty! Zaczarowany to kraj! Janek sierota ani razu nie wspomniał o spotkaniu tam ubogich dziełtek, którym brak potrzebnego ubrania, a o których pamięta **Kalina z nad Szczary**, równie pocziwie, jak o mnie pamięta **Rumiane Jabłuszko**, któremu za obdarzenie mnie fiołkami serdeczny uścisk przesyła, sercem wam oddana

Goląbka.

Kochana **Wiochno z pod Lublina**. Jestem jakby staruszką, Donieś mi więc jak wyglądasz, gdzie mieszkasz i jak ci na imię, a ja ci nawzajem doniosę co więcej o sobie. Czy należałaś do konkursu? Nie daj mi długo czekać na odpowiedź, przyjm całą od nieznajomej ci **Miernoty**.

P. S. Wszystkim „**Staruszkom**“ przesyłam pozdrowienie i proszę, aby mię łaskawie przyjęły do swego grona i zechciały ze mną korespondować.

Drogie moje **Stokrotko z nad Stochodu**, **Wiochno z pod Lublina** i **Niezapominajko z nad Warty**! Przeczytawszy wasze milutkie liściki, bardzo się ucieszyłam, ponieważ nie spodziewałam się na mój list odpowiedzi z powodu, że nie należę do rządu staruszek. **Stokroteczko z nad Stochodu**! Żal mi cię bardzo, droga

siostrzyczko, ponieważ pojmuję twą boleść po takiej stracie. To też ja proszę zawsze Boga o zdrowie dla moich rodziców. **Milutka Wiochno z pod Lublina**! Bardzo mi się podobają twoje powiastki i proszę cię, napisz mi ile masz lat, gdzie mieszkasz i czy lubisz muzykę? **Niezapominajko z nad Warty**, donoszę ci, że mam lat 13, na imię mi **Helena**, uczę się w domu, lubię bardzo muzykę, pływam niezle i jeżdżę konno na bułanku. Zadługi już mój list, więc całuję cię serdecznie i proszę o dalszą korespondencję, a może się kiedyś spotkamy w Redakcyi, to się uściskamy. *Figlarka*.

Kochana **Ukrainko z Kącika**! Donieś mi co o sobie; skąd znasz **Ukrainkę na Mazowszu**? Przysyłam ci szaradę i serdecznego całusa. *Niezapominajka z nad Warty*.

Najdroższa **Srebrna Roso**! Przeczytawszy twoją odezwę do wszystkich korespondentek, postanowiłam napisać do ciebie, gdyż twój pseudonym jest zachwycający. Donoszę, że mam lat 12, na imię mi **Emilka**, nazywają mnie **Milą**, mam starszą siostrę **Lenkę** i młodszego bratczyka **Ludka**, który należał do konkursu dzieci pod pseudonymem: **Promyk słońca**. W **Wieczorach** podoba mi się bardzo „**W dziewiczych lasach Ameryki**“. Przesyła ci milion całusów prosząc bardzo o odpowiedź. Szczerze życziwa *Baladyna*.

P. S. **Filaretki** zapytuję, dla czego mi nie odpisuje.

Kochany **Kwiecie Lotosu**! Dziękuję ci za liścik. Podobają mi się „**Druga Matka**“, zajmuje mię też bardzo opowiadanie „**Z wyspy Atlanty**“. **Wynanko z nad Fuldy**, **Figlarko i Macierzanko**, mam także lat 12, korespondujemy więc z sobą. A co wam się najwięcej podoba? Serdecznie ci dziękuję, **Niezapominajko z nad Warty**, za homonim. Czy należałaś do konkursu dla „**staruszek**“? **Jodelko z nad Noteci**, **Stokrotko z nad Pilicy**, **Kukulko z pod Lublina**, **Legendo i Iskro z W.**, donieście mi coś o sobie. Ścisła was tymczasem serdecznie życziwa *Galęzka heliotropu*.

P. S. **Staszke z Podola**, **Stokrotkę z nad Stochodu**, **Poranka majowego**, **Białą i zakrytą kartę**, **Mimozę i Sarenkę z nad Baltyku**, ścisłam serdecznie.

Kochana **Maryno z pod Garwolina**! Mieszkamy blisko, a widujemy się rzadko. Zgadnij kto jest *Halszka*?

Droga **Horpyno**! Dlaczego obrałaś sobie taki pseudonym? Donieś mi co o sobie. Ja tańczyłam dosyć dużo na trzech wieczorkach. **Jaskółko z nad Bohu**, posiłam ci łamigłóvkę, która zapewne będzie wydrukowaną, jeżeli okaże się dobrą. Ścisłam was, *Trójkolorowa Koteczka*.

P. S. **Stokrotce z nad Stochodu**, **Cyganeccze z nad Wisły**, **Wiochnie z pod Lublina**, **Sarence z nad Morocz**, **Jaskółce z nad Ussy**, **Galęzce Heliotropu**, **Śpiewnej Lirze**, **Czarniej koteczce**, **Jaskółce z nad Dniepru**, **Białemu kwiatowi bzu**, **Prawdzie**, **Pękatę Baryłeczce**, **Cienkiej Tycze**, **Cichęj Fali**, **Macierzance**, **Sarence**, **Złotęj Pszczółce**, **Semitce**, **Westalce i Pokrzywie**, posiłam milion całusów.

Milutka, a nieznana **Srebrna Roso**! Przeczytałam twój liścik do wszystkich czytelników „**Wieczorów**“ i postanowiłam napisać do ciebie. Ja mieszkam na wsi, mam lat 14. Ze wszystkich nauk lubię najlepiej historję i muzykę — a ty? Czy pisujesz na zadania konkursowe? bo ja pisuję oddawna, a kochane nasze „**Wieczory**“ prenumeruje mi tatus od 1885 roku. Czy masz rodzeństwo i jak ci na imię? Ja mam starszą siostrzyczkę i młodszego bratczyka. Na imię mi **Anna**, a bardzo często wołają na mnie **Nula**. Proszę cię, **Srebrna Roso**, odpisz mi w jak najkrótszym czasie i przyjm kopkę całusów od *Białonóżki z pod Karpat*.

P. S. **Niezapominajce z nad Warty** dziękuję za jej odpowiedź i nawzajem całuję ją serdecznie.

Kochana **Stokrotko z nad Prądnika**! Dziękuję ci bardzo za liścik i przepraszam, że tak długo nie odpisywałam. Bardzo miłe zostało mi wspomnienie z bytności u was, chciałabym być tam jeszcze kiedy. Czy się dużo uczysz? Ja mam siedm godzin dziennie. Ścisłam cię serdecznie. *Czerolistna koniczynka*.

Kochana **Zulo B.** i **Andziu Z.**! Jeżeli już pisujesz do **Wieczorów**, zgadnij, kto jestem? Dużo słyszałam o was i o waszem poznanu się. Ścisła was *Jabłuszko papu*.